№ 25.

WARSZAWA

22 Czerwca

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Święty Marek Ewangielista.

Marek święty towarzysz był dróg i pracy Piotra świętego, z którym gdy do Rzymu przyszedł, a Piotr święty wiele już był Rzymian do Chrystusa nawrócił, prosili Marka Rzymianie, aby im to na piśmie zostawił, co im słownie o Chrystusie Piotr święty opowiadał. Dał się w tym użyć Marek święty, napisał tę Ewangelią, którą wedle Marka zowimy. Którą gdy ukazał Piotrowi świętemu pochwalił wszystko, i z swego urzędu a zwierzchności czytać ją i przyjmować po wszystkich kościołach kazał. Kochał się w oném tak gorącém nabożeństwie Rzymian Marek święty, którzy go do tego prośbą swoją przywiedli. Zostawiwszy skarb ten w Rzymie, a sam go też z sobą wziąwszy, do Egiptu, posłany od Piotra świętego, na rozsiewanie Ewangelii poszedł. Gdzie najprzód Aleksandryi, Pantepolowi, Libii i innym sprosności życia oddanym narodom, światłość Ewangelii wniósł i wiele dusz ludzkich pozyskał. Które na jakich obyczajach stanowił, a co im za ćwiczenie dał, jako ich żyć chrześcianami prawemi nauczył, to szeroko Filo żyd zacny i mówca wielki, który w tym czasie żył, w księgach o rozmyślaniu wypisał, mówiąc o tych ludziach, którzy z podania i ćwiczenia Marka świętego w Aleksandryi i innych pogranicznych krainach znali. Gdy wielkiej doskonałości i cnót chrześcijańskich szkoła kwitnęła i codzień się kościół Boży szerzył, wielki się i szalony gniew pogaństwa na Marka świętego wzniecił. Wiedzieli iż on cuda niesłychane nad choremi, i umarłemi czyniąc, wiele ludzi do nauki swej a wiary Chrystusowej przyciągnął, zmawiali się tedy często na niego, a Marek święty uchodził im z Aleksandryi do Pantepolu i tam przemieszkiwał. Lecz gdy już o czasie swym w którym miał Boga uwielbić wiedział; popostanowił kościelnych urzędników i porządek między niemi uczynił, także innych kapłanów i diakonów, którym skarb nauki niebieskiej i około dusz ludzkich staranie poruczył, na miejsce zaś swojem Aniana naznaczywszy: sam bezpiecznie w Aleksandryi na tém miejscu, gdzie się chrześcianie schodzili Wołownią nazwanym, przemieszkiwał.

Tam gdy ofiarę mszy świętej czynił, pogaństwo w kościół wpadło i mocą dorwawszy się, świętego Marka związali, i na szyję powróz włożywszy, ciągnęli go po ziemi, błocie i kamieniach wołając: „Ciągniemy wołu do wołowni.“ Padało mięso z członków świętego Ewangielisty i wszystko ciało srodze zranione i zbite zostawało, a krew jego drogę oną polewała. Tak strapionego i na pół żywego do ciemnej wieży wsadzili, radząc się jaką go śmiercią zgubić mieli. Nocy tej, nie tylko anielskie, którzy go cieszyli i blizką pracom jego zapłatę opowiadali, ale też samego Pana aniołów widzenie miał. Ukazał mu się Pan Jezus w tej postawie, jako z miłemi uczniami tu na ziemi żył i rzekł mu one słowa: „Pokój tobie Marku Ewangielisto mój;“ a on niezmierną radością ochłodzony, kłaniając się i padając na twarz wołał: „Witaj Panie Jezu Chryste, jedyna pociecho i oczekiwanie moje!“

Nazajutrz postanowiło pogaństwo, aby go takimże włóczeniem jako pierwej do końca umorzyli. I włożywszy powróz na szyję, włóczyli go tak długo po ostrych kamieniach i miejscach przykrych, wołając one słowa: „Wleczmy wołu do wołów,“ aż w tém święty Boży ducha Chrystusowi w ręce wypuścił. Ciało jego chrześcianie pogrzebli, które potém do Wenecyi do ziemi Włoskiej, jako wielki a nieoszacowany skarb przeniesione jest, i tam odpoczywając cudami słynie. Cierpiał za panowania cesarza Nerona, kilka lat przed męczeństwem Piotra świętego, a za królowania naszego Pana Jezusa Zbawiciela świata, któremu z Ojcem i z Duchem świętym, sława nieustająca na wieki.

SĄD KRÓLA POLSKIEGO KAZIMIERZA WIELKIEGO.

Stolicą Królestwa Polskiego za króla Kazimierza był Kraków, miasto starożytne i wielce wspaniałe, pełne wspomnień narodowych zawierajce groby królów i sławnych ludzi polskich, wówczas bogate, a dzisiaj pod panowaniem austryackiem bardzo nieszczęśliwe.

Kazimierz zwan był nie dla wzrostu wielkim, ale dla tego, że był wielkim w dobroci, mądrości, sprawiedliwości, i że był wielce jako ojciec lubianym od całego narodu, a szczególniej od włościan, którego też dla tego nazywają i królem chłopków, jakoby dla tego, że się najwięcej nimi opiekował. Jeździł on po całej Polsse i chętnie słuchał skarg, a sądził mądrze, ale najwięcej mieszkał w Krakowie w stolicy swojej. Przy królu przebywali w Krakowie różni panowie, co byli albo urzędnikami, albo doradcami w sprawach państwa, a mieli zawsze bardzo wiele zatrudnienia, bo król pilnie baczył aby dobrze rządzono w kraju, żeby się nikomu krzywda nie działa, i aby wszędzie była sprawiedliwość.

Z panami przebywały i ich żony w mieście. Mniej gospodarne miały wiele czasu na zabawę i spacery. Dwie zaś pomiędzy niemi odznaczały się próżnością i zawiścią. Jedna drugą starała się przewyższyć w zbytkach i w blasku. Kiedy jedna jeździła czterema końmi, to druga jeszcze bystrzejsze konie mieć musiała; kiedy jedna sprawiła sobie bogatą suknię, druga zaraz bogatszą sprawiała, słowem jedna nad drugą we wszystkiém przodować chciała, i przez to naraziły się w mieście na śmiechy, i rózne niepochlebne dla nich gadania.

Zdarzyło się, iż razu jednego na wąskiej ulicy zjechały się obie te imoście, bogatemi karocami i ładnymi a bystrymi ciągnione końmi, w pstre świecidła ubranymi; same jakby królowe były ubrane. Jak się tylko zdala ujrzały, zaraz obie wydały rozkazy woźnicom, aby z drogi nie ustępowali, i tak się nareszcie środkiem ulicy zjechały, że konie łbami się stuknęły i stanęły. Z jednej karety jedna wołała: „Nie zjeżdżaj bo ja starsza jestem; z drugiej znów karety druga wołała: „Nie zjeżdżaj, bo mój mąż starszy.“ I tak stały pojazdy naprzeciwko, żaden się nie mógł ruszyć, a panie spozierały na siebie dumnie, z zaciętemi ustami i ze świecącemi od złości oczami. Widząc że nie ma rady, że tłum ciekawych na ulicy się zbiera i przypatruje się dumnym paniom i dziwuje się ich uporowi; jednomyślnie obie wysłały swoich służących do króla ze skargą, prosząc o sąd doraźny.

Król był w zamku swoim, a że był dla wszystkich przystępny i lubił zaraz sąd sprawiedliwy wydawać, wysłuchał obu służących i taki wydał wyrok:

„Na upór niema lekarstwa, więc idźcie i powiedźcie paniom swoim, *iż mądra głupiej ustąpi*, a ulica dość szeroka by się minąć.“

Nie podobał się taki sąd króla imościom

w karetach, ale gdy ludzie na ulicy dosłyszawcały wyrok, śmiać się zaczęli i klaskać w ręce, a wołać: „Niech żyje król sprawiedliwy i mądry!“ Obie imoście czemprędzej zaczęły wołać: „Zjeżdżaj na prawo, a zjeżdzajże na prawo,“ i jednocześnie rozjechały się i minęły tak, iż lud patrzący nie wiedział której przyznać nazwę głupiej, a której mądrej, bo sobie obie ustąpiły, bo każda chciała być pierwszą.

Od tego czasu powstał zwyczaj, aby zawsze przy spotkaniu się jadących, *zjeżdżać na prawo.*

Ztąd także powstało i to przysłowie: *mądry głupiemu ustępuje.* A gdyby dużo mądrych było, i gdyby się tego wyroku Kazimierza Wielkiego króla naszego trzymano, toby nie było zwad i kłótni pomiędzy ludźmi, gotowymi kłócić się o najmniejszą rzecz tak, że później nieraz wstydzić się muszą swojej zapalczywości w sporze.

O panu Okpiszu rzeźniku.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Było sobie miasteczko zamieszkane po większej części przez ludność rolniczą, to jest, że mieszkańcy trudnili się więcej rolą jak rzemiosłem i handlem. Mieścina sobie zwyczajna, niebrukowane ulice i niebrukowany rynek, pełen piasku w lecie, a błota w zimie. Pośród rynku stał ratusz o piętrzę i z wieżą, malowany na żółto, z czerwoną chorągiewką i z orłem. Owóż tedy ten ratusz, bardzo poważny wśród gromadki drewnianych domków, puszył się jak organista czerwonym nosem na weselu; jak sołtys blachą, gdy przez wieś za podatkiem przechodzi; jak pan pisarz od prowentu, gdy w nowy surdut ubierze się. A w tém miasteczku byli i rzemieślnicy, bo jakże miasteczko bez rzemieślników? Był tam szewc rzadko trzeźwy, co chciał zawsze grudy na dworze; był i krawiec co nigdy roboty na czas nie wykończył, a chciało mu się zawsze lata i ciepła; był i szklarz co prosił Pana Boga żeby zawsze grad padał; piekarz życzył sobie, aby zboże było drogie, i był rzeźnik co serdecznie pragnął, żeby wszyscy na mięso mieli. O tym rzeźniku powiem wam dzisiaj istną prawdę, i nie tyle o rzeźniku jak raczej o tém, że: *każda kosa na swój kamień trafi.*

Otóż tedy, był sobie w tém miasteczku rzeźnik, co się niedawno zkądsiś sprowadził, pan Okpisz.

Pan Okpisz, że był rzeźnikiem powinien był handlować mięsem, a tu zamiast mięsa, dostawało się kupującym coś podobnego do mięsa. I ciężko było spojrzeć na to mięso co Okpisz sprzedawał, tak jakoś pokrwawione i pomiętoszone było. Niech mnie Pan Bóg broni moi ludzie, żebym miał kogo obmawiać, bo to babska rzecz, jeno niech się kumoszki nie gniewają, bo co prawda to nie grzech, albo żebym miał kogo potępiać, bo to do ekonoma należy, ja tylko powiadam jak było i co mnie się zdaje. Otóż mnie się zdaje że Okpisz był słabowity i tak:

Myślę, że Okpisz był słabowitego zdrowia i rzemiosła nie mógł dobrze doglądać, bo jak wiemy liche i nieporządne mięso sprzedawał. I zapewne miał wzrok krótki, bo się zawsze niedopatrzył na wadze, na trzech funtach zawsze prawie pół funta brakło temu kto kupił. I nie dosłyszał pewno trochę, bo żadne prośby nie pomogły, żeby nie wiem jak kto prosił, dla chorego kawałek lepszego mięsa, albo przykładkę jaką, nigdy Okpisz nie słyszał. A musiał mieć i głowę skłopotaną, bo zdając reszty, a zwłaszcza papierkami, często się mylił. I pewno chorował na wątrobę, bo się strasznie gniewał jak się kto upominał o swoje u niego. Ja piszę co było i jak, a wy teraz sami możecie osądzić, czy Okpisż był zły, czy chorowity?

Czy był zły, czy chorowity, mniejsza o to, sami osądzicie gdy przeczytacie wszystko, a teraz wiedźcie, że całe miasteczko narzekało na Okpisza. On tylko jeden był rzeźnikiem w całej mieścinie, trzeba się było z nim godzić i kupować mięso jakie było. Siaki taki poszedł i na skargę do pana burmistrza i przeważył mięso w żółtym ratuszu z czerwoną chorągiewką i orłem, ale pan burmistrz, albo był zajęty pilniejszemi sprawami, albo coś jakoś, że Okpisz zawsze się wytłómaczył czy wyłgał, i nie było rady. Już parę miesięcy miasto cierpiało na Okpisza.

Aż tu raz, przyjeżdża sobie jakiś pan do miasteczka na dzielnym koniu, z wesołą miną, pokręca długiego wąsa i raźno spogląda, a przy koniu szły sobie luźno dwa charty, wygłodzone umyślnie przed polowaniem. Na dru-

gim koniu jechał dojeżdżacz z fuzyą na plecach, widocznie dążył pan gdzieś na polowanie. Dzieciaki z miasteczka przypatrywały się i panu i słudze, i koniom i chartom, i szły równo z jadącymi aż w rynek, gdzie pod samym ratuszem stała z mięsem budka pana Okpisza. W rynku pan przystanął z wielką pociechą dzieciaków, kazał doganiaczowi wypić wódki, a sam jął się tymczasem do krzesiwka i nakładania krótkiej fajeczki, a Lotka i Dogoń też nie próżnowały. Wygłodzone popatrzyły na budkę, strzygały uszami i jak na komendę, jakby za zającem, kiedy nie czmychną do budki, szust na stół i łap kawał mięsiwa. Nie myśląc płacić, nie wybierały co lepsze, zwijały się charciska, ale Okpisz zdążył złapać Lotkę, a Dogoń umknął z mięsem. Dzieci w śmiech, chałas się zrobił, pan jeszcze fajki nie zapalił, wybiegł doganiacz z harapnikiem.

„Dogoń tu! Dogoń harap! harap!“ Ale dogoń nie myślał porzucić zdobyczy i nim dobiegł Janek doganiacz, już i śladu kawałka mięsa nie było, tylko Dogoń oblizywał się po smacznem śniadaniu, a Lotka piszczała na postronku w budzie Okpisza.

— Idź Janku, rzekł pan śmiejąc się, zapłać za mięso, odbierz sukę i jedźmy bo już poźno.

Poszedł Janek i wrócił po chwili z Okpiszem.

— A gdzie Lotka? zapytał pan marszcząc czoło, bo mu pilno było jechać.

A Okpisz kłaniając się pokornie i z judaszowskim uśmiechem rzekł:

— Suczka wielmożnego pana jest u mnie i póty będzie, póki pan nie zapłaci szkody, jaką mi piesek wyrządził.

— No, a przecież posłałem pieniądze przez Janka.

— Mało, proszę łaski pana.

— No, a wieleż trzeba zapłacić? Tylko mów pan prędzej, bo gorąco się robi i polowanie na dziś przepadnie.

— Pies porwał najwyborniejsze trzy funty mięsa, odpowiedział Okpisz, to ma wielką wartość, bo to mięso było zamówione przez pana burmistrza, co miał zjeść pan burmistrz, zjadł pies.

— Cóż chcesz, odpowiedział pan niecierpliwiąc się, żebym ci za mięso charta zostawił?

— A broń Boże, proszę łaski pana, a co ja bym z chartem robił? chybabym go sprzedał. Ale wiele też suczka pańska warta dla pana?

— Ta suka? ta suka warta trzy tysiące, a za psa nawet bym nie brał tyle. Lecz co ci do tego? Mów ile ci zapłacić i puszczaj sukę bo mi pilno, mówił pan gniewając się na dobre.

— A proszę łaski pana, odrzekł Okpisz, dla pana warta suczka trzy tysiące, a piesek jeszcze więcej, dla mnie mięsko co je zjadł piesek warte trzy dukaty.

— Bój się Boga człeku, czyś oszalał, za trzy funty mięsa trzy dukaty! Wypuść sukę i skarz mnie potém, zapłacę ile sąd każe.

— A proszę łaski pana, jabym miał pana skarzyć? Po co mi ten ambaras? Ja suczkę zatrzymam, a pan niech mnie skarży. Ja spokojny człowiek, nie naruszam nikogo.

— Masz, rzecze pan wyjmując pieniądze, weź, wypuść psa i niech cię piorun trzaśnie! ale pamiętaj!

— Będę pamiętał łaskę pańską, odpowiedział Okpisz z ukłonem, chowając pieniądze do kieszeni. I poszedł do budy, wypuścił psa, pan pojechał na polowanie, a Okpisz cieszył się łatwym zarobkiem i myślał sobie:

— No, dobry początek dzisiaj, trzeba robić interesa. Przypomniało mu się że jest jarmark w pobliskiem miasteczku, poszedł do domu, ubrał się jako tako i z czeladnikiem poszedł kupować wieprze.

* * *

Jak szedł na jarmark, jak na jarmarku targował, jak bił ręką o rękę, ile i jak kupił, mniejsza oto, a patrzmy raczej jak wraca. Otóż pan Okpisz pędzi z czeladnikiem Michałkiem parę sztuk wieprzy. Gorąco, Michałka pragnienie pali, radby wstąpić i napić się piwa w karczmie, a tu ani myśleć odejść, bo Okpisz nie popilnuje tymczasem, a idzie ścieżynką poklepując tłustego brzuszka, rachuje co to jutro zarabiać będzie na tych wieprzach na targu, myśli o tem, że na jutro ma termin wypłacić i cieszy się, bo zarobkiem na wieprzach dług opędzi. A Michałek biedaczysko, ugania się po gościńcu za niesforną trzodą.

Zmęczył się nieborak, więc był bardzo kontent gdy weszli w dębowy lasek nad drogą i spostrzegł poblizką karczemkę, więc przemówił:

— Proszę pana, dobrze by tu było wstąpić i napić się piwa.

— Dobrze mój Michałku, rzekł Okpisz, tu

w dąbrowie niech sobie wieprzki odpoczną, mogą i żołędzi pochrupać, a ty idź do karczmy przynieś kwartę piwa, to wypijemy oba, a ja tymczasem żołędzi nazbieram. Widzisz mój Michałku, bo to: *wszystko jest dobre co darmo, albo tanio przychodzi.*

Michał poszedł mrucząc:

— Kwartę piwa na dwóch stary sknero! te żołędzie, albo to twoje, będziesz miał z nich wielkie zyski; aby tylko gdzie się zdarzyło, to zaraz pójdę chciwcze przeklęty!

I poszedł Michałek do karczmy o kilka set kroków, a wieprze tymczasem chrupały żołędzie, Okpisz także zbierał żołędzie co go nic nie kosztowały, a było ich tam jedna przy drugiej prawie. I już zebrał pare garncy w worek aby je włożyć na plecy Michałkowi powracającemu z piwem, znów rachując zyski z wieprzów na jutrzejszym jarmarku. Aż tu naraz rozległ się tentent galopującego konia po lesie, zatrzeszczały gałązki i przed Okpiszem stanął Janek dojeżdżacz.

— Niech będzie pochwalony! rzekł Janek uchylając czapki, a nie widzieliście tu psów naszych?

— Na wieki wieków! nie widziałem żadnych psów. I janek zawrócił konia, już miał odjeżdżać, ale spojrzał jeszcze i poznał Okpisza.

— A to ty panie rzeźniku? a kto ci pozwolił paść wieprze i żołędzie zbierać? i zsiadłszy z konia zaczął harupem zganiać wieprze i pędzić po drodze.

— Co pan robi? rzekł Okpisz.

— Zajmuję trzodę do domu z naszego lasu, odpowiedział Janek.

— A to zkąd? z jakiej daty? i przyskoczywszy do Janka zaczął odganiać wieprze.

— Nie bądź no taki hardy mój przyjacielu, rzekł Janek, i zatrąbił na myśliwskiej trąbce, a w parę minut wypadł gajowy ze strzelbą i pan przycwałował na koniu.!

— A to ty bratku! rzekł do Okpisza poznawszy go zaraz. Dajże mi Janku konia i z gajowym zapędźcie te wieprze do wsi.

Okpisz widzi że nie masz rady, więc w pokorę.

— Proszę pana, te troche żołędzi, co pan zażąda to ja zapłacę.

— Nie o żołędzie tu idzie mój kochany, ale pamiętasz rano w miasteczku? a ile zapłacisz?

— Spodziewam się po łasce wielmożnego pana, że mi wielmożny pan krzywdy nie zrobi.

— Oh! ja nikomu krzywdy nie robię, ale widzisz mój przyjacielu, jaką miarką pożyczają, taką oddają. Zapłaciłem po dukacie za funt mięsa, ty mi zapłacisz po talarku od świni, a za każdą żołądź co ją masz w worku po groszu. To będzie spora sumka na szpital.

— O rety! rety! zawołał Okpisz podskoczywszy w górę, to tak dużo proszę łaski pana?

— Zawsze mniej niż warte twoje świnie.

— A proszę łaski pana, to niech mnie pan procesuje a nie zajmuje wieprzów, bo jutro je sprzedać muszę. Co sąd naznaczy to ja zapłacę, bobym dużo stracił jakbym nie sprzedał ich jutro. Muszę pieniądze na jutro oddać com pożyczył, niech pan będzie łaskaw!

— A mój kochany, tak samo i ja ci z rana mówiłem że mi pilno, i ja odpowiem ci tak, jak tyś mi odpowiedział. Ja bym miał cię skarżyć? Po co mi ten ambaras? Ja wieprzki zatrzymam, tak jak ty mi suczkę, a ty mnie skarz, ja tak samo jak ty jestem spokojny człowiek i nie naruszam nikogo.

Okpisz widzi że nie masz rady, proces rzecz długa, a tu jarmark jutro, a tu na pojutrze trzeba pieniądze oddać, bo kredytować nie będą, pieniędzy w domu nie wiele, bo je rozdał na lichwę, zgodził się więc zapłacić myśląc, jakby powetować szkodę. Przeliczono skrupulatnie żołędzie z worka, porachowano wieprze i zapłacił Okpisz 200 złp. z górą. Jeszcze nigdy tak wielkiej nie poniósł szkody, więc zmartwił się bardzo. A pan wziął pieniądze, oddał Jankowi i rzekł:

— Wsiądź zaraz na konia, odwieź te pieniądze do kassy, a kwit odwieź panu Okpiszowi. A ukłoniwszy się, z uśmiechem powiedział mu:

— Będzie pamiętał szpital twoją łaskę i dobroczynność, i odjechał.

Gajowy poszedł w swoją stronę, a Janek kopnął się do miasteczka wedle polecenia pańskiego. Stało się to wszystko dosyć prędko, Okpisz markotny i zły spędzał wieprze drogą, a spojrzawszy na Michała krzyknął:

— Czemu się nie śpieszysz hultaju?!

— Co mnie tu pan będzie wymyślał? odpowiedział Michał, idź pan sobie sam z Bogiem, a ja wracam do karczmy i już nie przyjdę do roboty pańskiej.

Okpisz bolejąc nad stratą pieniędzy i zajęty myślą jakby tu łatwym sposobem wynagrodzić sobie, nie uważał prawie na Michała i zaganiał wieprzaki drogą. I myślał a myślał i tarł łysinę, i czoło z potu obcierał.

Gdyby Okpisz miał choć trochę sumienia, toby przyznał się w obec Pana Boga i prawdy, że zbłądził rano, bo nie sumiennie korzystał z pana i jego możności. Bo cóż mu było do tego, że pan był bogaty i mógł parę dukatów wyrzucić. Źle zrobił i po południu, bo choć żołądź rzecz mała, ale zawsze cudza, a cudza własność choćby najmniejsza, to rzecz święta. I jak to nam samym przykro, gdy nam wezmą to co nasze, gdy nam odbiorą rzecz której byliśmy panami, naszą własność.

Ale Okpisz kalkulował sobie że żołędzi było dużo, że pana nic nie kosztowały i uważał się teraz za pokrzywdzonego, a zapomniał jak z tym samém panem z rana postąpił, zwyczajnie jak człowiek co sam swoją sprawę sądzi. A że był chciwy, więc postanowił sobie wjakikolwiek bądź sposób wynagrodzić stratę, i nad tem myśląc, szedł drogą i zaganiał wieprze.

Aż tu spotyka już przed samym wieczorem dwóch ludzi licho ubranych, którzy widać znali się z Okpiszem, bo przystąpiwszy do niego zapytali:

— A zkąd to pan idzie panie Okpiszu? co pan taki zafrasowany?

— E, cóż? nic.

— A może pan stracił na jakim handlu, to my panu nastręczymy korzystny interes, ale nie bardzo czysty.

— No, odrzekł uradowany Okpisz, korzystny interes to zawsze można zrobić.

— Oto mamy wołu, rzekł jeden zézowaty i rudy w podarty *szyniel* wojskowy ubrany. My panu przyprowadzim koło godziny dziesiątej wołu, ładny wół, wczoraj *my go poszukali, nie drogo go nabyli, tak i nie drogo go przédamy.*

— A dobrze, dobrze, odpowiedział Okpisz. A dużo chcecie za niego?

— Już my tam długo targować się nie będziem, ot zwyczajnie znaleziony, pan rozumie to? Ale duży, spasły wół.

— No, no, rozumiem żeście go znaleźli szukając. Przyprowadźcie go, i rozeszli się. Wracał Okpisz weselszy do domu, cieszył się z taniego kupna, choć wiedział że kradzionego wołu kupi. Tak to niebaczny człek, gdy wpadnie w błąd mały, brnie coraz dalej. Ale chciwość Okpisza była głośniejszą, jak przestrogi sumienia i przykazania Bożego.

* *
*

Już późno było gdy Okpisz wrócił do domu, zmęczony, zagnał wieprze do oborki, gdzie już było parę sztuk bydła, i nie rozebrany położył się na łóżku. Zaledwie drzémać zaczął, zapukano do okna. Ocknął się Okpisz.

— A kto tam?

— My, przyprowadzili zgubę, wstań pan prędko.

Okpisz zerwał się z posłania i odliczywszy sześć dukatów przy skrzyni, wychodzi, patrzy: wół ładny, wart najmniej 15 dukatów. Odtargował jeszcze dwa złote; zapłacił sześć dukatów bez dwóch złotych, wprowadził wołu do obórki, a chciwość tak go ogarnęła, że wróciwszy do domu, rachował czy stracił czy zyskał, nie myśląc o tém, jak wielką zbrodnią popełnił wdając się w kupno ze złodziejami.

A mówił sobie: no, to i tak dzionek skończył się nieźle, śliczny ten czarny wół, akurat taki sam jak siwy, com go onegdaj z wywaru, kupił, jutro zabiję obydwoch, i jak zaczął rachować, tak stanęło na tém, że bardzo mało stracił, i zasnął już prawie wesoły. A z rana skoro świt, porwał się żeby się uprzątnąć z czarnym którego od złodzi kupił, nim ludzie przebudzą się do poczciwej pracy. Wpadł do oborki, porwał czarnego za rogi, spostrzegł że siwego nie było, ale ponieważ oborka była otwarta, a podwórze zamknięte, myślał że siwy wyszedł gdzieś w podwórze i nie kłopocząc się o niego, czarnego za rogi i do szlachtuza. Popłynęła krew z czarnego, zachrypiał ostatniem tchnieniem, jak zwyczajnie, ale Okpisz nie jak zwyczajnie przygląda się czarnemu. Bo też działy się tutaj dziwne rzeczy. Gdzie krew po szerści cieknie, tam szerść zostaje siwa! Dziwno, co u licha! zakipiało w Okpiszu, porwał trochę wody, ściera na brzuchu, sierść z czarnej robi się siwa, na boku siwa, zmywa na grzbiecie, siwa. Wybiegł na podwórze, szukać pokątach siwego, nigdzie go nie znalazł, zatrząsł się cały, załamał ręce, wpadł do szlachtuza, porwał konew wody i oblał czarnego, zmyła się farba, z czarnej szerści zrobiła się siwa. Poznał wtedy Okpisz że kupił swojego wołu od złodziei... Porwał

się za głowę rękami, oczy mu słupem stanęły, wybiegł na miasto krzycząc: *„Nie korzystaj z tego co możesz nabyć z ludzką krzywdą.“* I biegł przez miasteczko wciąż krzycząc te słowa, a musiał okropnie wyglądać, bo jak go pani burmistrzowa zobaczyła, to coś trzy razy krzyknęła. Zbiegli się ludzie, mało kto użalił się Okpisza, wymiarkowali że złodzieje wyprowadzili mu w nocy jego własnego wołu, i sprzedali mu go poczerniwszy wprzódy. Okpisz za wiele w jednym dniu tracił i zyskiwał, za wiele był chciwym, a że myślał o tém jakby zyskiwać bądź co bądź, choćby z ludzką krzywdą, więc gdy mu się tak nie powiodło, zwarjował i ostatnią myśl tylko zachował w pamięci, ztąd powtarzał ciągle: *„Nie korzystaj z tego co możesz nabyć z ludzką krzywdą.“* Zapieczętowano jego rzeczy, pieniądze złożono w depozyt, a jego odesłano do Bonifratrów do Warszawy, gdzie leczą warjatów, i gdzie jeszcze siedzi, i tylko powtarza te wyrazy: *„Nie korzystaj z tego co możesz nabyć z ludzką krzywdą.“*

Spostrzeżenia terminatora.

I.

Do jednej z księgarni Warszawskich, wszedł pewnego dnia ubogi wieśniak w granatowej sukmanie, z wielkim słomianem kapeluszem który trzymał w ręku. Skłoniwszy się obecnym i pozdrowiwszy ich imieniem świętym Jezusa Chrystusa, prosił księgarza o sprzedanie mu jakiej książeczki historycznej.

— A jakiejże to chcecie mój ojcze? zapytał księgarz.

— Myśmy słyszeli od naszego dobrodzieja, odrzekł śmiało wieśniak, iż w Warszawie w księgarniach wyszła książeczka, w której piszą o naszych królach Polskich, i o tém, jak to u nas dawniej było.

Księgarz podał jednę z książeczek o historyi Polskiej, wieśniak zaczął ją przeglądać.

— Ale proszę pana, rzekł po chwili, myśmy słyszeli, że tu w tej książce mają być także obrazki i wizerunki tych naszych dobrych króli.

— Tak, masz racyę mój ojcze, będą, ale ich jeszcze malarz nieskończył, odrzekł księgarz zdziwiony, ale zkądże wy o tém wiecie?

— Ba! o tém wszystkiém nam rozpowiada nasz dobrodziej, co to i dziatwę naszą uczy, a i o nas starszych nie zapomina.

— A zkądże wy jesteście?

— Z Rogowa, odrzekł wieśniak, wyjmując należność za książkę.

Przytaczamy wam tę rozmowę, abyście i wy mili czytelnicy naśladowali owego wieśniaka z Rogowa i przybywszy do Warszawy, czy do innego miasta nie bali się wejść do księgarni, i dla dzieci swoich lub dla siebie coś z książek zakupili, boć to lepiej niż tracić grosze w szynku na gorzałkę.

II.

Przez Zapiecek jednego dnia nad wieczorem szedł mężczyzna, a obok niego kobieta. Mężczyzna był cieślą, wracał z roboty i na ramienieniach niósł ogromny pęk drzewa, między którem stérczały spore klocki. Kobieta była jego żoną.

— Proszę cię Jakóbie, mówiła kobieta łagodnie, pójdź prosto do domu, ugotowałam wieczerzę, ani ja ani dzieci jeszcześmy jej nie tknęli, zjemy wszyscy razem.

— Daj mi pokój, odpowiedział męczyzna opryskliwie, przecież po pracy muszę wypocząć..

— Ale mój kochany, czy nie odpoczniesz spokojnie w domu? zapytała trwożliwie kobieta.

— Nie, ja tam z babami i dzieciakami nie. będę siedział...

Przybyli na róg Zapiecka, gdzie się wchodzi na Stare miasto; na tym rogu są dwa szynki jak dwie głowy smocze, gotowe zawsze pożreć swą ofiarę. Jakób skręcił do jednego.

— Mój kochany, przemówiła znowu żona, to ja wezmę drzewo i zaniosę do domu, wzięłam pranie na zarobek, dobrze że będę miała przy czém wody ugrzać.

— A czy ty się uwzięłaś na mnie babo! krzyknął Jakób, patrzcie ją, będzie brała drzewo moje! i mrucząc dalej pod nosem wszedł do szynku, gdzie za półkwaterek wódki sprzedał owe drzewo.

Takiego drzewa sprzedanego za wódkę u szynkarzy całe komórki leżą, żony zaś wyrobników ciesielskich lub murarskich muszą kupować drogo drzewo na wiązki, a zimową porą marznąć w nieopalanych izbach, choć przez lato dobrę kupę drzewa uzbieraćby można. I czyż nie wstyd wam wyrobnicy, dla marnego kieliszka wódki, żonę wskazywać na kłopoty, dzieci wystawiać na przenikające zimno w mrozy?

Różności.

Piszą nam co następuje: „W dniu 10 Kwietnia r. b. we wsi Jarnicach w parafii Węgrów, w powiecie Siedleckim, odbył się drugi roczny popis dzieci Ochronki miejscowej, w której jest 51 dzieci, przed dziedziczką p. Podczaską wdową po b. pułkowniku Polskim, jej sędziwą matką p. Chudzyńską, i przed nami miejscowemi duchownemi tak od fary, jak z klasztoru i przed własnemi ich rodzicami. Po odprawieniu mszy w kaplicy, która była niegdyś kościołem parafialnym, udaliśmy się do sali ochrony, gdzie już dziatwa była zgromadzona. Jeden z duchownych zagaił popis przemówieniem do dzieci i rodziców, a po modlitwie rozpoczął się egzamin z pacierza i katechizmu i wszystkich artykułów wiary i moralności. Dzieci odpowiadały wybornie, co zważywszy na wiek i krótkość czasu nauce oddawanego, jest znacznym, wiele przewyższającym oczekiwania postępem. Półtory godziny zajęła sama religia, dalej popisywały się dzieci młodsze z sylabizowaniem, starsze z czytaniem i deklamacyą wierszowanych powiastek z pism ludowych: Czytelni, Kmiotka i z Przyjaciela dzieci. Przy śpiewie ładnych wierszyków zadziwienie wszystkich wzrosło, a poczciwym matkom łzy radości zaciemniały oczy, iż wierzyć nie mogły same sobie że to ich dziatki: „tak siła pięknych rzeczy umieją.“ Rachunki pamięciowe także nas zadowolniły zupełnie. Potém oglądaliśmy niektórych dziatek pisanie i roboty dziewczątek, W końcu p. Chudzyńska rozdała wzorowym i pilniejszym uczniom kilkanaście książeczek do nabożeństwa, obrazków i medalików Matki Boskiej Częstochowskiej jako nagrody. Radość dzieci obdarowanych była ogromna. Modlitwa dziękczynna zakończyła ten examin. Widocznie Bóg miłosierny błogosławi dziełu swojemu. Wszystko tu na tle rereligijném rozwinięte, z uczciwością, pobożnością, roztropnością, w ogóle z Bogiem i dla Boga prowadzone. Owoce te tak piękne i liczne przynosi społeczności panna Wiktorya Błeszczyńska ochmistrzyni ochronki Jarnickiej. Ona to przy pomocy dostojnej dziedziczki i jej rządcy dóbr p. Wasilewskiego, zaprowadziła wspólny pacierz w ochronce ranny i wieczorny całej niższej służby dworskiej folwarcznej, na który razem z dziećmi i podrostkami, nawet rodzice włościanie uczęszczają, a po pacierzu kilka chwil w wieczór poświęcają czytaniu religijnemu. W niedzielę zaś cała osada śpieszy na czytanie, tak że nieraz dwie sale ochrony zaledwie zdołają pomieścić pragnących słuchania „dobrych i pięknych rzeczy.“ Przed spowiedzią Wielkanocną urządziliśmy po pacierzu naukę katechizmu, oddawszy ochmistrzyni uznanie wydawania kartek do spowiedzi Wielkanocnej. W zbieraniu ludzi do czytania z własnej woli, bardzo gorliwie pomaga ochroniarce służący folwarczny Franciszek Małkowski.

— „Sposób nauczenia czytania w 22ch lekcyach, ułożony i doświadczony przez Franciszka Krynickiego dla ochronek i szkółek wiejskich,“ a mogący być zarówno użytym w nauce pojedynczych dzieci, mimo ogłoszeń w pismach na jesieni roku zeszłego czynionych, z powodu nie dających się przewidzieć w samém wydawnictwie trudności, pracy i nakładów, dopiero obecnie w zupełnem wykończeniu jest do nabycia u Jana Krynickiego, ulica Oboźna nro 2766*c*, oraz w księgarniach: Celsa Lewickiego pod teatrem i u Gebetnera i Wolfa, po cenie złp. 13 gr. 10 za egzemplarz. Śposób o którym mowa, składa się z teki na dwie połowy się otwierającej, z wyobrażeniem wewnątrz Zbawiciela, dającem się ustawić pochyło i stanowiącem ołtarzyk dla dzieci w czasie modlitwy; z kilbunastu tablic samego czytania, w ten sposób ułożonych, że dziecko przy drugiej lekcyi już może coś przeczytać, że każda następna lekcya, powiększona o jedną głoskę, jest ciągłém kombinowaniem tej litery z poznanemi poprzednio; z 84 kieszonek, mieszczących w sobie na różnokolorowych kartkach około 1000 dużych i małych ruchomych liter do układania syllab, wyrazów i zdań, licząc w to cyfry, znaki przestankowe, arytmetyczne i t. d. Jest to tedy cała początkowa biblioteczka szkółki lub ochronki. Oszczędność czasu i łatwość w nauczeniu się czytania podług tego sposobu, jeszcze przed wydaniem go na widok publiczny doświadczona, dostatecznie za nim przemawiają, jeśli zwłaszcza uczący zechcą się przejąć systematem w instrukcyi zaleconym, i dołożą szczerego starania w należytém zużytkowaniu tej pracy.

— Nakładem redakcyi Roczników Gospodarstwa Krajowego, wyszła w Warszawie Krótka nauka o ziemi i świecie, napisana przez Władysława Ludwika Anczyca. Zawiera ona wiadomości dla ludu z nauk przyrodzonych i polecić ją możemy publiczności jako książeczkę ze znajomością rzeczy a odpowiednio do wykształcenia ludu napisaną; kosztuje 1 Złp.

— Dwunasta ochronka dla dzieci, otworzoną została przez Towarzystwo Dobroczynności w Warszawie przy ulicy Chmielnej.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którém prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 22 Czerwca 1862 r.